

Głos Literacki

№ 1 (25)

WARSZAWA, 1 stycznia 1929 r.

Rok II

STANISŁAW WYGODZKI O POSTAWĘ KRYTYKI LITERACKIEJ

JÓZEF SZPECHT O TWÓRCZYM SNOBIZMIE

Każde słowo krytyka musi dziś budzić podejrzenie, głównie dla tego, że brak naszej krytyce metody i kryteriów opartych na przesłankach naukowych. Ich kryteria nie mają właściwej wagi ani przydziału a krytyka zdawałoby się istnieć po to tylko, aby zaskoczyła zniechęca, zdziwiła, a często przeraziła czytelnika. Tak zwana „literatura piękna” ciągnie w swoją stronę, krytyka w swoją, a w rezultacie nie spełnia ona swojej roli kulturalno-społecznej. Stanowisko poety w Polsce dało mu wszelkie dane ku temu, aby „krytykę czystego rozumu” (a więc nie essay ani impresję) traktował jako rzecz gatunkowo niższą, niedorównującą w niczym „twórczości czystej”. Inaczej powiedziawszy: krytyk jeszcze nigdy nie przekonał pisarza, że fałszuje rzeczywistość, albo że z rzeczywistością tej wyłowił sprawy najmniej istotne. Dzieje się tak z następujących powodów: 1) w mniemaniu wielu poetów „twórczość czysta” nie może ulec wnikliwej „mózgowej” jakim niechybnie jest krytyk, gdyż poecie natchnienie dyktuje a nie mózg, i dlatego interwencja „mózgu” nie może wyjaśnić, 2) że poezja-demiurg nie z tego jest świata, a jemu poecie, wybrankowi muz, wolno bezkarnie hasać po ugorach bynajmniej nie wolnych od wzajemnych wpływów i ustosunkowań bardziej bliskich „grubym i zwyczajnym” momentom ekonomicznym, aniżeli się to wielu poetom wydaje, 3) że pewien odłam krytyków szerząc oszliwianym frazesem pseudo naukowym przemycia myśli obiegowe „ślusne i prawdziwe”, które mając prawo do należenia do „narodu” należą właściwie tylko do pewnych warstw dla których głośny publicysta notuje w pewnym piśmie literackim wszystkie nowości wojskowe, automobilizmu i t. p., słowem to wszystko co jako narzędzie ucisku i mord może być użyte w odpowiedniej chwili. O momentach klasowych w poezji zabiorę głos kiedy indziej, teraz chciałbym wykazać ciągłość tychże momentów w krytyce.

Przedewszystkiem krytykiem kieruje wiara, że w jego budowlu intelektualnej każdy człowiek może umieścić swój mniejszy lub większy bagaż umysłowy, bez różnicy na to czy bagaż ten swoim ciężarem jednych skłania ku Belwedrowi, drugich zaś w stronę Pawiaka. Słynne ujmowanie rzeczywistości „całociałami” posiadała właśnie takie tajemne przejście dla wszystkich „uniwersalistów” w Polsce, by wyczerpując nasz stosunek do przyszłości sprowadzał każdy indywidualny wysiłek myślowy na płaszczyznę, na której panuje prawo zgodności (Hempel razem z prof. Jaworskim). W sukurs oczywiście pospieszyli poeci domagając się tylko krytyki estetycznej formalnej, bo wszak wiedzą doskonale, że te badania nie pozwalają mimo wysokiej klasy formalnej docieć treści czy pustki ideowej utworu. Znaństwo pewnych subtelności technicznych, podkreślenie różnicy między rymem pełnym a asonansem, obliczenie ile w poezji Polski Współczesnej mamy rymów męskich i żeńskich wszak nie da odpowiedzi na najbardziej piekące pytania. Poeta doskonale może sobie radzić materiałem swoim, technicznie „dobrze” go obrobić, ale jednocześnie ideologicznie reprezentować może zupełną jałowość i pustkę (przykłady się mnożą co dnia bez liku). Krytyk mówi o stylu, akcji, rytmie i rytmie, wierności psychologicznej, gdy w koncepcji i kategorycznym rozwiązaniu problemu chodzi o nikić jakieś głupekstwo, któremu broń Boże nie odmawiam znaczenia ogromnego dla pewnych ludzi. Ale w ocenie ważności spraw, jakże wyraziście ukazuje się siła jednych lub zdeprawowanie moralne innych, wypadkowa sił etycznych i wysiłków ludzkich, albo siła niszcząca. Krytycy społecznikujący nie popadają w konieczny w tem miejscu konflikt zachodzący między wynikiem gotowym już, zaspakajającym jednych, a ruchem niedostrzeżonym czasami, zmierzającym do stwo-

żenia nowych sformułowań, które kosztem największych wysiłków zaspokoją drugich.

Nie ilość kilogramów poezji zawartej w tomie jest rzeczą istotną. Ważny jest ciężar gatunkowy poruszanej sprawy oraz sposób rozwiązania jej, wskazanie wreszcie, które pisarz wyznacza klasie swojej, albo jak niektórzy chcą „narodowi, wskazania, któreby doprowadziły do jak najszybszego osiągnięcia końcowego momentu wszelkiej pracy społecznej: szczęścia. Ale czyż trzeba długo dowodzić, że to co jedni uważają za szczęście dla innych jest nieszczęściem, że we wzajemnym pragnieniu szczęścia jedni po nie sięgają przy pomocy środków, usankcjonowanych przez klasy posiadające, gdy one je używają, a potępianych, gdy te same środki znajdują się w rękach proletariatu? Już w tak zwanym obiektywizmie i subiektywizmie natknijmy się na sprawę kardynalną dla nas wartości.

Jednym z najbardziej fałszywych założeń krytyki jest tak zw. obiektywizm, krytyka bowiem jaka by nie była występuje jako siła bezwzględna, jako treść istniejąca nie poza człowiekiem, ale w nim samym i znaczenie jej polega na powiązaniu wartości, dzieła ocenianego, odpowiadających krytykowi, człowiekowi, który ma jakieś tam poglądy na zjawiska społeczne. I to samo się dzieje, gdy dzieło pewnemu odmawia znaczenia. Ośmielcie się panowie i powiedziecie, że krytyka społeczna wartości dzieł jest nawskroś subiektywna, i że w tym wypadku nie ma żadnej różnicy między podejściem do spraw profesora Borowego a podejściem J. Dąbrowskiego, między Stawem a Pomirowskim. Ale gdy ten ostatni odmawia np. proletariatu wszelkiego znaczenia, gdyż jest ciemny i nieoświecony, i jednocześnie mówiąc o Polsce potężnej i mocarstwowej jednak tę Polskę opiera na pracy szerokich warstw a więc na proletariacie, należałoby wysnuć wniosek, że dzisiejsza Polska istnieje swe opiera na ciemnocie proletariatu. Oczywiście tego kroku p. Pomirowski już nie uczyni, bo musiałby użyć innego typu sprawdzianów, któreby mu pomogły do stworzenia całego szeregu lagodzących okoliczności dla wszystkich winnych, którzy przechodząc od życia do myśli, a nie odwrotnie, wypierają się podejrzeń jakoby mieli coś wspólnego z marksizmem. Tyczy się to w pierwszym rzędzie różnych Blüthów, tych groźnych nadchodzących pogromców myśli markowskiej. Krytyka „to kwestia par excellence społeczna” słusznie zaznacza p. P. Hulka-Laskowski (Nr. 259 Głosu Prawdy Tyg.), dlatego też w krytyce dochodzą do wyrazu te same przeciwieństwa, jakie spotykamy w życiu społecznym, ale tak daleko idących a jednak bliskich wniosków pan P. Laskowski już nie zdołał wyciągnąć, bo musiał zanucić powtarzający się często u niego refren o „czynie legionowym”. Jeden i ten sam tomik poezji zostaje osądzony od czci i wiarę przez jednego, przez drugiego zaś krytyka wychwalany wszelkimi możliwymi superlatywami. Ale to zjawisko nie wymaga komentarzy. W porządku został tylko krytyk formalista. Oto ktoś z „wielkiej rzeki rzeczy” wyłowił wachlarz czy szpilki, zaś krytyk orzecha: sonet jest budowany świetnie i dodaje, że: sonet jest najsubtelniejszą formą wyrazu poetyckiego (o ile mnie pamięć nie myli w „Pałubie” Irzykowski wykazuje słusznie czegoś wręcz przeciwnego), że pauza w pierwszym wierszu czwartej strofy i takt na 3 półnuty w ostatnim wierszu stwarza atmosferę konania itd. Jeżeli przypomnę, że w sonecie tym mowa o wachlarzu i że ostatnio mnożą się u nas tomiki „karneci” tomiki pełne „ciszy leśnych” i „imion wróżebnych” czemuż jest krytyka, która nie krzyknęła, że poezja ta wieje z krainy próżności? Czemuż jest krytyka, która nie podpałiła „domu jałowcowego”, a o powsinogach nie powiedziała, że jedynie przez izolację, przez szkodliwą izolację ocaleli, i że gorzenio-górne ich przedstawienie

Wszczęła się przed forum publiczności gwar i krzykliwa bitwa. Skłębionym zrazu i ciemnym obłokiem pojawiło się na niebie polskiej poezji zagadnienie twórczego przedstawienia twórczej postawy.

Eksplodują kartacze finezyjnej argumentacji, z okopów św. Trójcy, grzmia ciężkie działa wieczystych prawd.

Publiczność pragnie tej polemiki, ląknie dziennikarskich cirensse. Snobi — jak zawsze — gotowi gwizdać, klaskać, szczerzyć. Gdziekolwiek tylko rozjaśni atmosferę błysk rzetelnie postawionego zagadnienia, gdziekolwiek tylko rozpruje chmurę, brzemienne oszczerstwem, fałszem i obłudą — błyskawica szczerej wypowiedzi, która demaskuje hipokryzję tego, co chce być wiara...

W atmosferze rodzimej gnuśności i chorobliwego zainteresowania literaturą — objawił się z niepospolitą wyrazistością nowy typ snoba: artysty-symulanta. Któż nie zna tego zręcznego rzemieślnika, żadnego popularności wyznawcę modnych, głośnych (głośno „brzęczących”) hasel, dla którego wyrocznią — dzień dzisiejszy.

Twórczość artysty-symulanta tego pokroju uświetnia wyłącznie te wartości, do których wyszkolił się już gnuśny duch szerokich kół czytelników. Któż nie zna tych skrętnych, obrotnych twórców, co w każdym piśmie mają życzyliwe rybitywy wszelakich miernot i nędz, w każdym salonie swoje warszawianki i na każdej ulicy conajmniej jedną alkwę z wielbicielek... Panowie ci

nie posiada żadnej wartości. Czyż nie czujecie panowie swądu kruchty? Doktryna? Oczywiście! My się jej nie wypieramy, ale nie zapominajcie, że z pogardą mówicie o doktrynerstwie w imię innej, swojej własnej doktryny. Nie wstydzicie się jej panowie!

Następnie druga kwestja: kwestja wrażliwości. Czy nasza wrażliwość w jednaki sposób reaguje i tak samo jak chociażby 10 lat temu na to wszystko co nazywamy sztuką, czy też się ona zmienia i czy sztuka nie rozplynęła się po dziś dzień w tem wszystkim, w czem jej dotychczas nie było. Hala panowie! Nie żadne signum temporis, „współczesność”, moda czy... (spieszę Wam z pomocą), snobizm wreszcie. To nie zagadnienie czystej formy, czy „nienasyconia metafizycznego”. Jest to sprawa przeobrażeń dokonywujących się w społeczeństwach klasowych, na tle rozprzeczającej się gospodarki, techniki wprzęganej głównie do spraw wojny, polityki, w której może najdobitniej się objawia etyczne oblicze klas panujących. Zmianę wrażliwości zilustruję na przykładzie: aż do głośnej sprawy Sacco i Vanzettiego widok fotelu kojarzyłem ze spoczynkiem i wywołane uczucie ulgi sprawiło prawie przyjemność: po mordzie wraz z fotelem kojarzę już nie spoczynek ale śmierć, uczucie stąd powstałe nazwałbym nieprzyjemnym. Jednakże sprawcom mordu widok tego fotelu, jako narzędzie obronne sprawia przyjemność, mimo że w tym wypadku fotel jako reprodukcja siły prawodawców nie przedstawia szczególnej wartości. Największą wartość przedstawia tutaj poczucie posiadania narzędzi, przy pomocy których stwarza się przedmioty do mordowania. I tu rozwiązujemy zagadnienie: poczucie posiadania a nawet tylko psychiczne nastawienie w tym kierunku kształtuje uczuciowość i wrażliwość, inna zaś jest uczuciowość nie posiadającego nic. W grze tej nie mniejszą rolę odgrywa stan techniki epoki oraz stosunek, w jakim ludzie względem tej techniki pozostawają. I gdy przy badaniach formalnych badaj na chwilę ominiemy te momenty nawskroś społeczne, całe rusztowanie myślowe runie. I tak, fotomontaż u nas nie jest sztuką, ale sztuką ciągle jest jeszcze malarstwo stalugowe! Kino to X Muza, to zn., że też prze-

dyszą wprost duchem czasu, wchłoniętym w kawiarni i salonie.

Czemu wytłomaczyć popularność tych artystów?

Odpowiedź należy spać w jeden łańcuch przyczynowy w zagadnieniu... wstępu do myślenia. Czytelnik przekłada nad indywidualną myśl — która wymaga bądź-co-bądź zastanowienia — jej karykaturę, jej tanią edycję.

Takie „spopularyzowane” wydanie daje miłe (a jakże!) poczucie intelektualnej powagi przy szczupłym zasobie inteligencji i tanim wysiłku. Tudzież pozwala — jako rzecz przystępniejszą od „ryginału” — przyswoić w duchu indywidualnej, płytkiej potrzeby.

Rola tedy takiego art.-symulanta jest poniekąd społecznie pożyteczna: ułatwia bowiem szerszym kołom czytelników proces snobistycznego spływania (patrz: „Głos Literacki” Nr. 17. „O rodzaj tendencji”). W sumie przedstawia ta rzęsa art.-sym. tabor ciurów, alrekinów, w własną pustkę wlewających cudzą treść, kabotynów, żadnych za wszelką cenę rozgłosu.

A gdy niemiłosiernie dłoń czasu zetrze pstry puch efektu, artysta dochodzi do momentu przedśmiertnego obrachunku. Jasnym staje się fakt, że w dziedzinie „popularyzacji” niema już nic do roboty. Następuje skok we wprost przeciwną stronę. Artysta „odnalazł siebie”. Siłą bowiem bezwładu skok ten najczęściej kończy się upadkiem. Twórca w ustawicznej pogoni za cudzemi cieniami nakrył

(Ciąg dalszy na stronie 2-jej).

stała być sztuką! Strawiński porzuca harmonję dla kontrapunktu, bo mu się ot tak sobie zachciało! A Picasso i za nim całe malarstwo polskie wraca do klasycyzmu, bo komuś się tak chce malować a nie inaczej. Czy tak panowie? P. J. Dąbrowski w związku z wydaniem tomu Majakowskiego po polsku pisał w „Robotniku”, że Majakowski jest słabszy od Broniewskiego, bo ten ostatni posiada duszę polską (!). Czy to są te „wystarczające kryteria”? Ideologia jak i forma tworu sztuki podlegają ciągle zmianom, bynajmniej nie oderwanym od gruntu społecznego i w wypadku np. sztuki „najbardziej abstrakcyjnej” (!), jaką jest tmuzyka, badanie np. reform Lutra oraz ich wpływu na muzykę więcej wyjaśnia aniżeli mętne unoszenie się nad prostotą i surowością chóralu protestanckiego.

Jedyną metodą mogącą krytyce oddać ogromne usługi jest metoda Marxistowska, badanie zależności całych epok jak i ciasnych okresów czasu w kulturze, od namacalnych i widocznych zmian dokonywujących się w społeczeństwach. Pro domo sua stanowczo nie należy identyfikować marksizmu w badaniach literackich z kierunkiem pozytywistycznym. Bo o ile pozytywistyczny kierunek miał swoje uzasadnienie historyczne oraz pewien system narzędzi i znaków to rok 1905 narzędzia te stepił. I jeszcze jedno: musimy bezwzględnie usunąć przestarzały termin „krytyka socjologiczna”, bowiem termin ten już dziś nie oznacza. Pomoc psychologii, pewnych zdobyczy psychoanalizy, badań filologiczno-historycznych rekonstrukcji czy metody genetycznej wreszcie na nic nam się nie zda, kiedy przy indywidualizacji zjawisk będziemy traktowali kierunki artystyczne odrębnie od zjawisk społecznych, ściślej klasowo-społecznych. Streszczam się: obok konstatacji tylko obserwacji musi się zjawiać sąd, który dla nas jest kategorią zasadniczą: sąd klasowy, a nie socjologiczny, ponieważ socjologiczna krytyka obok Stawara uprawia także np. Miller. Słowo poety i krytyka nie może pozostać wolne od odpowiedzialności. Wychodzimy bowiem ze stanowiska określonego krótko i węzłowato: odkrywcom prawd nie wolno kłamać.

Stanisław Wygodzki.

wreszcie swój własny. Tak chce vox populi, ów łatwy oręż w walce z każdym objawem sztuki, który nie jest strawą i obrokiem na użytek codzienny.

Jest i inny typ artysty-symulanta; sympatyczniejszy. Twórca, skrupowany bolesnymi wżami poprawności, pełne przytem ognia i temperamentu. Pozorną żywotnością sprawia wrażenie wiecznie szukającego. Wrzeszczy, zamiast mówić. Ma to dać iluzję jurnej bujności, tudzież nieokiełznanej mocy twórczego ducha. Dziś wyznaje „konstruktywny metaforyzm“, jutro — surrealizm. Rano jest zrównoważonym, pogodnym hellenem, po obiedzie przeczulonym na punkcie krzywdy ludzkiej społecznikiem, po kolacji (z winem) — obiektem a następnie piewą haszyszkowych doznań Baudelaire'a.

Podczas całego pracowitego żywota nie zdążył ustalić własnego pionu twórczego, wypracować zdecydowanego stanowiska. Temperament wytarł się w słowach, postrzępił w sporach i do reszty zatracił w nieustannej wędrówce od „kierunku“ do „kierunku“... Tragedja filistra-rewolucjonisty. O ile filister przeżywa tragedję, o tyle rewolucjonista przynajmniej się do filisterstwa.

Symulant tego gatunku podoba się sobie w roli rewolucjonisty, lubi być „plus contemporain que Morand lui-même“ i „plus Tartarin que Tartarin de Tarascon“.

Z nieublaganą koniecznością czas wybija wreszcie kres. Niepodobna bowiem w jedwabnych pantofelkach Pierrotta lekko pisać przez całe życie po ciernistej drodze, na której inne bosa nogi krwawią.

Wreszcie reszka symulujących już nie artyzm, lecz umiłowanie piękna: estetycy-symulanci. Rozproszeni po rautach, buduarach, kawiarniach i redakcjach. Sztuka — w ich pojęciu — ze szczególną predyspozycją daje się trawić sytem, wykwiutnym. Wszystko niestrawne — to fikcja, zwyrodnienie.

Estetyk tego pokroju nastraja się w rozmowie na wysoki ton poważnego stosunku do poezji „wogóle“, sypie tytułami „nowości“, tryska fontanną zachwytu dla „głębokich“ utworów, nigdy nieczytanych. (Pokryjomu czyta się utwory Staśka, Germana, Mniszkówny i Wallace'a).

Zapytany o zdanie w kwestji obrazu czy utworu odkrywa „czwartowymiarowy“ gatunek osądu. Trzy są bowiem możliwości wrażeniowe: obiekt podoba się, nie podoba się lub jesteśmy nań obojętni. Czwartej możliwości — zda się — nie ma. Ale czego nie wymyśli bezmyślność. Przychodzi taki pan od „czwartej“ możliwości, tajemniczo pokrzykiwa głową: „No, tak... Ale... Wieczność... Materializm przeżył... Zresztą — to kwestja sporna... i t.d. „w tym stylu“.

Otóż, radzę Was, szczerze i z całego serca, o ile spotkanie takiego osobnika, co wymyślił niejako czwarty wymiar zapatrywać — rąbnijcie go w leb, s., knocout“ujcie, resztkami zamiećcie podłogę. Ewentualnie kropnicie kaganiec krótkie, a dośladne: „Kochany panie! Pół-zimny i pół-gorący, półczłowieku i półobywatelu! Słowem: półgłównu, pół-serdku i półduszkę...“

A zakończenie — knock-outem.

* *

Zapominają ci wszyscy artyści-symulanci, że wola tępoty przechodzi w tępotę.

Chroniczne akty złej woli, wewnętrzne kłamstwa zatarasowały drogę — w skrusze niekiedy objawionemu — odruchowi szczerości. Cudzołóstwo ducha mści się jak cielesna rozpusta.

I któreś nocy, obudzeni krzykiem Nowiny, nadaremnie obwieszają tłumowi:

„Spać! nic się nie stało“.

Życie bowiem kroczy naprzód pomimo waszej — ponowie — woli „posiadania i spania“ i przechodzi mimo was.

Józef Szept.

NIEBEZPIECZEŃSTWO CZY KONIECZNOŚĆ

Juljusz Kaden-Bandrowski — „Lenora“. — Z cyklu „Czarne skrzydła“, Lwów. Zakład Narodowy im. Ossolińskich. 1928. Str. 444.

...Nie, dzieje nie powtarzają się — toczą się naprzód w nieznanym oceanie wieczności raz długim spokojnym szlakiem, to znów wzbierają wściekłą rozpędową siłą i poprzec wiry, kataklizmy zrywają naprzemysłniej wzniesione tamy na drodze do społecznego celu ludzkości. Przewija się poprzez wiry, kataklizmy zrywają naprzemysłniej wzniesione tamy na drodze do społecznego celu ludzkości. Przewija się poprzez dzieje, w dziwacznych skrętach przecięt naprzód biegnącą, złota nić logicznej celowości. To tylko spekulatywny zmysł niektórych historyków lubi w analogjach dopatrywać się błędnego koła. Nam więc przypało żyć w najgłębszym chyba wirze dziejów, w erze przełomowych kryzysów o skali ogólnoludzkiej. Nie ma dzisiaj dziedziny życia społecznego, nie dotkniętej ostrym kryzysem; lecz poprzez radykalne przemaganie kryzysów uzdrawia się ludzkość. Lapidarnie określił to raz Irzykowski: „Społeczeństwu potrzebne są rewolucje, jak zdrowej kobiecie poród“. W zbolalym organizmie narodów nurtuje głęboko niemożony pęd do społecznego zdrowia i jak w biologicznym rozwoju dziecka jest każdy kryzys symptomem rozwoju. Wśród ropnych bolączek i wrzodów żyje w łonie tegoż społeczeństwa rozliczne i plemne jądło zdrowia — garstka jasno widzących ludzi: bojownicy, prekursorzy, pisarze...

Takie żywe i wzniosłe poczucie misji pisarskiej podyktowało Bandrowskiemu jego najnowsza powieść „Lenora“, jak rękawica rzucana w twarz polskiej rzeczywistości. Pod jego ostrym i brutalnym cięciem wije się ta rzeczywistość boleśnie, niby pod nożem wiwsektora, który z bohaterskim samozaparciem wiera się w cuchnący wrzód. Jest to osobliwa powieść, w której Bandrowski nie mógł znaleźć miejsca ani dla jednej pozytywnej cennoty, ani dla jednej postaci, która by na to czarne Zagłębienie patrzyła za nas potępijącym spojrzeniem autora; powieść, która przemawia do nas jedynie poprzez swą miazdzącą obiektywną dokumencję i tarycność. Postacie tej powieści, które przyszły zwierzać się Bandrowskiemu w twórczych godzinach ze swej nędzy, nicości i degeneracji znalazły w nim surowego spowiednika. Postacie Bandrowskiego to nie poszczególne jednostki, indywidualni bohaterzy — to są rozmaite typy, które w Polsce i w całej reszcie dzisiejszego świata zachwaszczono jest publiczne życie. Każda osoba w „Lenorze“ to suma tysięcy takich osób, — od Kostrynia poprzez Mieniewskiego ojca i syna aż do Cooura, Drazka, Kozy i biednej pani Knoty.

Jakiż daje nam Bandrowski przekrój moralny tych ludzi, jakiego zbiegu przyczyn są piekielnym skutkiem i — jaka konkluzja? Oto jest Tadeusz Minieniewski, generalny reprezentant tej wojennej młodzieży, która szczęśliwie ocalała i wróciwszy z pobojowiska narodów staje wobec nieznanego jeszcze zadań. Tadeusz, wychowany w „socjalistycznej“ rutynie ojcowskiego domu, w leaderowskim dostatku, w mieszczańskim trójkącie między ojcem, matką a „pelargonją“ — czyż odczuwa, czy wierzy w patriotyczne bohaterstwo swej walki? Czy w układaniu sobie nowej, cywilnej przyszłości pragnie prostolinijnie kontynuować bohaterstwo życia? W synu socjalistycznego meniera nie powstały takie pragnienia, — z całym naiwnym cynizmem szuka raczej wraz z bratem niewinnie-oszukańczych środków, by za wszelką

cenę zbić łatwe miliony i nie zawaha się nawet wejść w konszachty z wrogiem swego ojca, depcząc w ten sposób i hańbiąc dane mu nazwisko. Tadeusz, ubijając interes z pogardzonym Kostryniem, zapewne nie zdawał sobie nawet sprawy, jak jest mu bliskim moralnie, — że im obu razem patronuje dyrektorskie lizunstwo i moralność wyzysku. Czy zdoła się dusza tego małego Fausta, uwiedziona przez Mefistę kapitału, oczyścić i okupić przez miłość Lenorki-Malgorzaty — może rozstrzygnie to drugi tom trylogji. Bo źródła jego cynizmu biją poza jego sercem, bo jest to może cynizm bezwolny, występujący tylko jako skutek. Ma ów Tadeusz wnikliwe spojrzenie i umie ludziom zaziarać pod maski — dużo widzi i wszystko rozumie, gdy odzywa się do ojca: „No, przecież oszukujesz ich! No, oszukujesz!... „Ja nikomu nie szkodzię. Latam — za swoją pastą. Ale ty wszystko trujesz dokoła!“ Zaś ojciec: „...Bo całe moje życie!... Leader zamknął oczy. Ileż razy ciskał różnym ludziom na lew swoje życie!...“ — W cynizmie Tadeusza, który tak i m swego ojca widział i tak do niego mówił, jest zatem więcej moralnej rezygnacji niż gruntownego cynizmu. Żyje w nim jakaś nieuświadomiona tęsknota, która w takim kierowisku do głosu dojść nie może, — aż wola autora kierowana los rzuca mu w otwartą ramiona Lenorę.

Kto zacytował Lenorę? To nie „uboga dama“ i nie można ponad miarę krzywdząco zamieniać jej przez takie określenie z panną Zużą Kostryń. To ona jest typem ubogim damy, która gardzi swym ojcem i nienawidzi go, że w haniebnej służbie nie dochrapał się przynajmniej willi w stolicy, że nie jest w stanie sfinansować jej zagranicznych zachcianek. Bo to słowo „dama“ oznacza nie tyle pozycję towarzyską, ile pewien typ moralny współczesnej kobiety. Spróchniałe serce Zuzy już się nigdy nie ogrzeje miłością do „swego Tacka“, a biedna Lenorka nie pojmowała, jak niewinnie jest jej „wyrabianie“ wobec anatomicznego dziewczęcia Zuzanny. Któż to więc Lenora? To zziębłe piskle, dziewczę robotnicze, spragnione odrobiny tkliwości, cichego szczęścia ze swoim chłopem w miłym statecznym dostatku; to nieukończony głód serca poprzez zdrowe zmysły. Brat Duś przyznawał siostrze swobodę kochania, lecz z rozpaczą w sercu i z gorczyca w słowach wybaczał jej musową rozwiązłość...

Taka jest przeciętna moralność bohaterów kadenowskich. — Jest jeszcze jedna wyróżniająca się postać — ksiądz Kania ze swoją mistyczną wielopostaciową prawdą, ze swą wiarą w nieustanną reinkarnację ducha i z taką teozoficzną maksymą: „Nikogo nie było we wszystkim i wszystko było w nikim“. Cokolwiek Bandrowski chciał przez tę postać wyrazić — Martyzelka u księdza Kani nie znalazła pocieszenia, choć dla konającej Supernaczki i dla mściwej pani Knoty stał się żalostną ucieczką.

Jak ogromną ciężką rzeźbę, niezawsze cyzelowaną w szczegółach, modelował Kaden tę powieść. Bandrowski nie jest drobniogowym analitykiem, lecz w najwyższym konstruktywnym wysiłku, z pośpiechem człowieka, który ma w zanadrzu kilkanaście takich dzieł, raz w raz dorzuca z grubszą niby mularz kielnią, nowe warstwy. Średniowieczni mistrze w takim pośpiechu pracy pozostawiali nieraz uczniom wykańczanie szczegółów. Chciałbym i ja wskazać na kilka drobnych usterek, drobnych lecz faktycznych, choć o niczem nie rozstrzygają. Tak na str. 110 wydrukowano:

Odplynęły wielkie lodowce wieków.

Wyschły zimne źródła sztuki Epikura.

Nie wróżba sybillińska poprzedziła współczesność, ale apokalipsa Pracy — ogromny znak na niebie ducha ludzkiego.

Człowiek wierzył lub nie wierzył w boga — ale nigdy nie wierzył w świat. Współczesność w sercu człowieka zaszczepia tę wiarę wszechpłodną.

Nauka jest bogiem, który wyrzekł się plagiatu Stworzenia, zachowując prawo Sądu Ostatecznego.

Oczy inaczej patrz!

Niebo nie jest koleżką boga, ani sklepieniem kościelnej absydy, którą florencki Bufalmacco pociągnął ultramarzyną i wyzłocił rogatemi gwiazdami, nie jest błękitną oteplianą, którą pędzel włoskich prymitywów napełnił chmarami demonów i sentencji na powiewających wstęgach.

Niebo jest skrótem optycznym.

Nieśmiertelność to nie laur na skroniach cnoty, to nie cud oślepiający i najprostszy.

Nieśmiertelność jest tajemnicą gruczołów. Franciszek serański szukał jej u boga. Steinach znajduje ją wśród małp.

Bóg?

Jakiego systemu? Czy model 1929?

Jeśli ma grzbiet bawołu niech ciągnie sprężynowe plugi po ugorach Brazylii, Wołynia. Jesteśmy biedni! Niech pracuje jak traktor, jak Emerson lub Tytan. Zamało ich jest!

Jeśli ze stali, niech holuje okręty do stoczni. Jest duchem?

STANISŁAW WYGODZKI

MARSYLJANKA

Ścichnij! nie czekam twojej pieśni,
Marsyljanko falista i strojna.
Pod liściem zwiędłym na martwej piersi
ręka spoczęła zbrojna.

Im dziś rozjaśniasz noce czarne,
dla nich masz radość i tetent poezji.
Z mieczem i krzykiem stajesz nad Marną,
wroga nam, w jasnym płomieniu magnezji.

Nas już nie porwiesz wolności pamiętna,
sztandar na wicherze już nie zawarezy.
Tobie lipcowa wolność wystarczy,
rentjerów kochanko ponętą.

Wrocie sztandary uniosłaś wysoko,
w lądy jak w bęben bagnetem uderzasz.
Przez morza sięgasz po Marokko,
do Syrii jak złodziej zmierzasz.

Bruk co twe skoki szalone pamięta
gniewną stopą roztrącaną,
szumi ciepłą krwią w twe święta
i wtkiem pieśni niezapomnianej.

Smagła dziewczyno! Smukła kochanko!
Polską mowę w Paryżu Cię budze.
Rutą pachniesz i macierzanką,
gdy z Clichy wyruszasz w szarudze.

„Falkiewiczowi zagulgotało w nieogolonej krtani...“ — choć krtani to organ wewnętrzny i nie porasta włosami. Na str. 51 powiedziano: „Oklepywał Supernaka po wyjętych żebrach“ — chyba może: dotykał w nęki po wyjętych żebrach? Natomiast zupełnie na miejscu jest cały szereg onomatopeicznych wyrażań i takie słowa jak głane, cwiszenruf, brytwanka, choć przecie równie dobrze mogłyby być — patelnia?...

Dosadny realizm Bandrowskiego, nieklamana żądza prawdy i żywe poczucie rzeczywistości pozwoliły mu dojrzeć i ująć u trzona sprawy ludzkie, palące i żywotne. Budowniczy przyszłej Polski odkrył prostą prawdę — „nie można budować wśród mroku!“ — nie można, póki nam światło dzienne zaciemniają Cooury i Kostronie, póki Mieniewscy, Drazki i Kozy są ich cichymi choć mimowolnymi poplecznikami. Wobec tych postaci budzi w nas ta niezwykle powieść miłosierdzie dojmujące, mądre i porywe, które nakazuje czasem istocie przewlekłej konającej zadać cios ostatni. Są bowiem zarówno winni i niewinni, są tylko bezpośrednią funkcją i nieuchronnym skutkiem bardziej oczywistych, ustrojowych przyczyn. Rozumiemy, że Coeur tylko dla względów eufemizmu został użyty jako jedyny przedstawiciel kapitału, że francuscy autochtoni są mu równie dobrzy do zdzierstwa i rabunku, jak polskim Coeurom polscy autochtoni. Inteligent polski z radością będzie czytał tę książkę pełną skrajnej ohydy, cierniową zaś rzeczywistość robotniczej niedoli będzie dla robotników dosadnym komentarzem do tej książki. Ta powieść Kadena-Bandrowskiego — powiada słusznie Paweł Hulka-Laskowski — powinna znaleźć się w każdej bibliotece robotniczej, to bowiem, co oznacza dla Kostryńskich naciągające niebezpieczeństwo, to im Bandrowski obwieszcza jako radośnie ziszczającą się konieczność.

Emil Schürer.

Wszystkim abonentom, czytelnikom i sympatykom Głosu Literackiego życzenia noworoczne składa

Redakcja Głosu Literackiego.

ZAMACH STANU

I.

Intelekt jest dyktatorem ducha.

Nauka jest imperatywem moralnym a wiedza sumieniem pracy.

Spełnia się marzenie Sokratesa.

Hipotezy poznania stają się ognistymi dogmatami triumfującej wiary i fanatycznego zwycięstwa.

Czyn ludzki przesuwają się po lśniących torach poznania. Czyn ludzki przesuwają się jak granat po gwintach luf esseńskich.

Przemienił się człowiek.

Przeprowadził wszechświat przez cykl przeistoczeń ogromnych. Przetopił go, przepalił w żarach białego mózgu. Przebudował go.

Był świat niby klasztor. A człowiek niby cela samotna.

Dziś w słonecznych nawach huczą warsztaty.

W chrzestnicach motorów, w chłodniach Spadów, Gnomów, Dieslów kipi święcona woda. Od naszych wielkich oddechów pogasły żółte, modlitewne płomienie na olzawionych gromnicach. Palą się sine trójbłyski na świecach w stalowych tabernakulach motorów. Modlitwa nie z wosku jest — a z żelaza. Niema modlitwy.

Tchu zabrakło organom na chórach. Cynowe fujary skonfiskowała wojna. Słuchamy spalinowych melodji. Wiążemy akordy wybuchów.

Niezem jest obłoczne wstąpienie w niebo wobec loskotu śmigła. Niezem zardzewiał bóg wobec świszających pocisków świadomości.

Bóg jest małym czerwim wielkiego mózgu. Na soczewki teleskopów szlifujemy diamentowe żrenice Buddy. Zmieniamy sędziwą mądrość na młodzieńczą wiedzę. Naszych maszyn nie zdołają czyste i szlachetne profile półbogów, madomny nie rozweselać pracy robotnika, Hefajst nie cytuje na tarczach i płytach czolgów szczęsnego życia rolników, na przyblichach samolotów warczy propeller niż Gorgona straszliwszy. Rozkład jazdy piękniejszy niż mszał gregoriański. Na dworcach kasjerzy sprzedają komunikanty. Do królestwa niebieskiego — sleeping? Ależ panie! Manchester — bawelna. Tekturowe hostje D. M. C.

Wiek.

Wiek minione — to karły. Nasz dzień powszedni to obrzym. Jedna doba strawi dziś dwudziestu czterech Cezarów.

Przeszłość.

Filozofje. Apokalipsy. Herezje. Poematy. Mistycy. Króle. Czary. Ledy. Savonarole. Pазie. Mni-chy.

Strasziłwa dżungla przeszłości.

Potworna flora myśli.

Przerażająca fauna ludzi.

Ljany. Skrzypy. Kaktusy. Brontozaury.

Nasza myśl jest prosta jak promień, jak funkcja linjowa, jak rozkaz Bonapartego, jak linia stalowa dźwigająca tonny.

Ludzkość wytywała się z koliska wiecznego powrotu, które zmiądzżyło Nietschego, ołśniło France'a.

RZECZ CZARNOLESKA KWIATY NA UGORZE TUWIMA

Tuwim jest niewątpliwie największym talentem Skamandra. Nie piszę: najgłębszym, gdyż jest on talentem o wysokich potencjalnie lecz dotąd jeszcze nie zgłębnionych możliwościach twórczych. Nowy jego tom¹, jest tego wymownym dowodem. Czuje się tam, że wiersze „czarnolesskie” są emanacją szczerego, powiedzmy nawet więcej: żywiołowego rozmachu poetyckiego, produktem niezaprzeczalnego talentu, a jednak... O to jednak właśnie chodzi.

Nie będziemy teraz wykrywać stosunku „Rzeczy Czarnolesskiej” do poprzedniej twórczości Tuwima i odpowiadali na pytanie, czy nowy tom przedstawia „wyższe” czy też „niższe” wartości, niż np. „Słowa we krwi”. Nie obchodzi nas tu bowiem jak się „Rzecz Czarnolesska” odbija w osobistym, tuwimowskim, „miniaturowym zwierciadle” poetyckiej próżności i ślicznych błyskotliwych słów (Schürer), lecz w jakiej mierze jest zwierciadlanem odbiciem ogółu współdziałań życia społecznego i jakie wartości wnosi z punktu widzenia jego potrzeb. I tu nasuwa się owo „jednak”.

Nie tak dawno wołał Tuwim w swych „Słowach we krwi”:

„Wasze słowa są jak salonowe pieski —
moje jak wściekle psy!

— — — — —
Pal licha wasze arabeski i burleski!

Słowem do krwi!”

Sądzę, że wszelkie rozpatrywanie twórczości poetyckiej autora „A to pan zna?” powinno mieć za punkt wyjścia powyższe wyznaczenie jego wiary twórczej, lub przynajmniej doń nawiązywać. Lecz najbardziej nawet przyjacielsko względem czołowego Skamandryty usposobiony krytyk, najgorętszy jego apologeta, nie zaryzykuje twierdzenia o zupełnej konsekwencji i całkowitej harmonii zachodzącej pomiędzy teorią: owem credo poetyckim, a praktyką: dotychczasowym dorobkiem Tuwima. Twórczość jego bowiem, będąca najklasyczniejszym wzorem całej poezji Skamandryckiej (a że wzorem takim stała się istotnie i w życiu, o tem wiemy z tych licznych tomików i tomów poetyckich, które z dnia na dzień się pomnażają), zawiera o wiele więcej elementów kwalifikujących ją do gatunku poezji salonowej i do szeregów owych „salonowych pieśniów” niż do twórczości będącej istotną dźwignią społeczną, oddziaływającą z mocą, „wściekłych psów”. Dlatego zbyt śmiało zapewne tak nazwał Tuwim swe utwory. Są tam może zaledwie dalekie echa, ciche pomruki „wściekłych psów”, które zagłusza cukierkowatość i błyskotliwość „salonowych pieśniów”. Słowem Tuwim „do krwi” nie dociera, co najwyżej głaszcze nas delikatnie po wydelfikowanym naskórku.

Tuwim ma bardzo ścieśniony horyzont swych poetyckich, twórczych zainteresowań. Jest on dobrze przysłonięty narzutem nowoczesnej blagi dawnym, nieodmiennie polskim indywidualistą — indywidualistą w znaczeniu nieustannego tkwienia w swojej własnej „poetyckiej próżności”. Wskutek tego świat Tuwima wygląda wprawdzie pięknie i być może, jak chce Wierzyński, upojnie, ale to piękno rozciąga się na bardzo małym skrawku, jest martwe, i nie złączone nierozzerwalnym węzłem z życiem. Dlatego w „Rzeczy Czarnolesskiej” tak minimalne są tony o ogólniejszym, szerszym znaczeniu, a przeważa nuta na wszystkie

¹⁾ Pod znakiem poetów. Serja nowa. Wydawnictwa Jakóba Mortkowicza. Juljan Tuwim — Rzecz Czarnolesska. Warszawa 1929. Str. 131.

przestanie działać. Panie premierze! I ty nie uwierzysz, by mogło być prawdą, że zanim człowiek pomyślał o nadczłowieku, nitscheanizm przeniknął genjusz boga. Ty na interpelację odpowiesz: „Prawdy formułowane przy pomocy pojęcia Boga nie tracą przez to nic na wartości. Tylko, że człowiek, który je w ten sposób wyraża jest jak murzyn: zamiast „ja” używa trzeciej osoby i mówi swoje imię, ale słuchającemu — jeśli nie ma murzyńskich umów — wydaje się, że mówi o kimś innym”.

Tak — panie premierze — my nie znamy murzyńskich imion!

Człowiek obejmie rząd wszechświata. Parwenjusz! Uzurpator! Gotuje heroiczną zamach stanu.

Współczesność jest konspiracją.

Niema nas jeszcze na ulicach wszechświata. Wieczne miasto patrzy na nas jak Polifem jednym okiem słońca. Nie widzi nas dobrze. Nie widzi nas jeszcze.

Nie ustajemy w pracy. Produkcja. Ustawodawstwo. Technika. Trusty. Syndykaty.

Zwycięzcy, jeżeli będziemy zdolni do zwycięstwa.

Pracą najpierwszą jest uorganizować ducha ludzkiego pod dyktando intelektu. Inaczej grozi mu zguba. Duch ludzki jest jak Brytyjskie Imperium, rozłamany na autonomiczne kolonie, prowincje, protektoraty. Nauka, Religja, Prawo, Moralność, Sztuka.

Kanada, Egipt, Irlandja.

Jak Lloyd George pracuje intelekt i jak Washington nad wielką częścią stanów ludzkiego ducha.

strony przedstawianego „ja” poety, aż do powtarzających się nieprzerwanie w różnych odmianach ech wspomnień dzieciństwa („Zapach szczęścia”), które dzięki Bogu zajmują już przecież całą pierwszą część „Wierszy zebranych”. Dlatego też w „Rzeczy Czarnolesskiej” możemy bez zdziwienia odnaleźć momenty wyraźnego kwitowania z szerokiego oddechu życia na rzecz wąskiego światła poety, i przemawiania „do siebie”:

„Widzisz miasta, podróże,
Pstrokatę dziwolągą,
Gruchocą cię i miażdżą,
Ciężkie, gorące pociągi.

Ale ty czekasz, czekasz
I nuczisz pocichutku,
A tu już astry tężowe,
Wróżę jesień w ogródku” („O Poezie”).

I takim właśnie poetą, przechodzącym obojętnie obok „miast” czy innych, pogardliwie nazwanych „pstrokatych dziwolągów” życiowych, jest Tuwim, przynajmniej się zresztą głośno do tego, gdy mówi: „i jak oni, życiu nie podolał”. Włęcz z głośnego, oszołamiającego centrum życia „anioł i dandy” w jednej osobie kryje się w swych własnych poetyckich ramionach, z niezrozumiałą pogardą dla przejawów urbanizmu czy maszynizmu („Z powodu maszyn”), ucieka do dusznej atmosfery... Małej Ziemiańskiej (szczerześć ta zasługuje na przykłaśnięcie):

„...Siedzę w milej kawiarni jak w obłoku,
Mógłbym tak do wieczora.

Za oknami tyle pośpiechu
A ja nie wiem i nie słyszę”.

Szczerześć szczerześcią, ale jednak to, by „wiedzieć i słyszeć” zależne jest jedynie od woli. Poeta, który zechce, usłyszy z pewnością doniosłe tętno życia rozbrzmiewającego zmaganiem się człowieka pracy, jego bólem, radością, buntem i oddźwiękiem mu należąca nuta. A my, żądając od poezji roli aktywnej, żądamy od poetów tem samem, by właśnie zechcieli „wiedzieć i słyszeć” co się wokół nich dzieje i zająć wobec tego pewne stanowisko. Inaczej poezja zwięży się do garstki walorów formalnych, stanie się w gruncie rzeczy zbyteczną, a co najmniej w swem istnieniu obojętną, „rzeczą czarnolesską”. Poezja musi nie tylko spełniać rolę aktywną w układzie stosunków społecznych, ale musi posiadać zasób świadomości i wypływającej z niej odpowiedzialności za swą rolę. Tymczasem Tuwim rozbrajał wyznaje: „I wiersze sam wymyśliłem, nie wiem czy co pomogą”.

Zdaje się, że należy na to pytanie odpowiedzieć: nie. Wiersze, jak „Gorące mleko”, „Fryzjerzy”, „Dentysta”, „W”, czy „Słowo o księżycu w stawie”, nie pomagają napewno na nic. Cóż warne jest ciągle operowanie słowem, gdy jest ono czczym dźwiękiem „wyabstrahowanym z ideowej treści”? Nie wiem jak skutecznie można dążyć, by

„...wbijać się klinem coraz srożej
słowami w cerca, sercem w słowa”.

gdy słowa są abstrakcją nie zabarwioną ideowo.

A słowo puste może się łatwo przy tem wbijać w serca rozprysnąć. I cóż potem? Chyba, że istotnie nadal będziemy „trwać w uporze” i nie zechcemy dostrzegać konieczności zapewnienia czystej formalnej kategorii, określoną konkretną treścią. Ideologia Tuwima jest pod tym względem — nie mogę inaczej określić — prostoprosto mętna.

Ale on sam był tragicznym parrycydą.

On sam stworzył tysiąc nauk, tysiąc prawd, tysiąc metod. On sam pokruszył słoneczne zwierciadła rzeczywistości na tysiąc płaszczyzn, poziomów, krzywizn, które oscylują wciąż i świecą mdłymi barwami fosforu.

Sam intelekt otworzył wielką erę politeizmu naukowego. A teraz szuka spojrzenia, jednego, jedynego spojrzenia, któreby się już rozszczepić nie dało, spojrzenia, któreby wszechświat przestrzeliło nawskroś jak lufę armatnią.

Odmienne normy myślenia dała religja. Bóg jako jego centralna oś — ozdobił się glorią rzeczywistości rozłamanej na tężowe widma: laski, autorytetu, cnoty, sankcji, nieśmiertelności. Soliter sumienia.

Sztuka stwarzała i niszczyła swe kanony. Od upałów natchnienia zrywają się tajfuny afektów, straszliwe burze uczuć, waleśające się bezdrożami nieba w piorunnych włóczgach. Muzyka napina luki tęsknot, z których nie wytryśnie nigdy promień strzału do tarczy.

Nie czekajmy śmierci! Duch ludzki za życia już jest na drugim brzegu Styksu. Ileż tu asfodelii! Ile elizejskich przechadek.

Chrystus i Newton, Chopin i Einstein, Lenin i Ewers, Darwin i Nietsche. Współdziałają w ludzkim wnętrzu wszyscy jako odrębne zasady myśli, jako sprzeczne metody moralne, jako wieloznaczne katody napięć, imperatyw i norm, jako przeladowane lub rozbrojone a zawsze ciężkie akumulatory ducha.

Na przełomie starożytności i chrześcijaństwa

Do nielicznych książek, jakie ukazały się dotychczas w zakresie monografii i charakterystyki współczesnej literatury regionalnej, przybyła ostatnio nowa, cenna i niewątpliwie jedyna w tym rodzaju rzecz pióra znakomitego krytyka i znawcy literatury Wielkopolski, Stefana Papée. Autor znany już z szeregu prac na tem polu podjął tym razem wdzięczną obronę kultury Poznańskiego, wykazując dokładne i możliwie najszersze jej omówienie w szeregu tematów monograficznych, z galerji pisarzy tej miary, co Kasprowicz, J. Hulewicz, Przybyszewski, Chrzanowski Bernard oraz kilku innych, mniej znanych szerszemu ogółowi. Obrona taka — sui generis replika na poniekąd nieścisłości naukowe Aleksandra Brücknera zjawia się w samą porę. Stanowi bowiem bogaty materiał pomocniczy dla monografistów i „Wiatru od morza” Wpływ Bernarda Chrzanowskiego na twórczość Żeromskiego ma w książce tej swoją najpiękniejszą kartę. Podobnie i ekspresjonizm Hulewicza, pominięty w Polsce i niesłusznie osierocony, znalazł w autorze dziełka swego gorącego apologetę. Jednym z najboleśniejszych jednak, bo tragicznych szczegółów, zasługujących tu na uwagę, jest poruszona sprawa nagrody literackiej Poznania, oraz smutne losy jej pierwszego stypendjum. Nie sposób wprost uwierzyć, by dla ośmieszzenia osoby p. Romana Dmowskiego chciano brudną łapą do reszty zgnieść schorzone zdrowie Przybyszewskiego. A jednak — niestety, tak było. System wymierzania zdolności literackich miarą wątpliwych zasług politycznych dał swój tragiczny rezultat w Poznaniu. Śmierć głodowa Przybyszewskiego tuż po wręczeniu nagrody Dmowskiemu pozostała nie płamą, której nie zmyje żaden najzdolniejszy polityk. Nie wywabi nawet tekst fabuły, że nagrodę przyznano za „interes narodu i państwa polskiego”, którego rzekomym szermierzem miał być ipso tempore p. Roman Dmowski. Dla Przybyszewskiego, oczywiście, było to tylko „niespodzianka, że nagrodę tę otrzymał polityk, którego zdolności literackie równają się zeru”. (List po-

„Znowu przetapiać w ogniu spojrzeń
Barwy na metal dźwięku lity,
Wyczarowywać z faktów mity
Rozkrawać słów nerwowy korzeń”.

Znowu... Ale pytanie: poco? Nam niepotrzebne są „mity” — chcemy prawdy życia, ani „nerwowe kerzenie słów” — chcemy by słowa rozrędy się wrozcze w mocne łodygi i wypuściły liście i kwiaty. Lecz niema ich w „Rzeczy czarnolesskiej”. „Zecer bezsenny” nie złożył z tych ustawicznie, aż do przesytu obrabianych „liter”, „Słów” przez duże S, „dźwięków litych” i innych składników „Składni”, bijącej mocą i siłą karty zapelnionej wiecznie wartościową treścią. Kartę tę ubrał tylko w strojne i wykwinne ornamenty błyskotliwej formy. Jej zaś rozbiór pozostawiam apostołowanej przez p. Pomirowskiego — krytyce formalnej. Mogę jedynie zaznaczyć, iż forma artystyczna „Rzeczy czarnolesskiej” przedstawia wysokie walory, pomimo, że jak zwykle u twórcy „Czyhania na Boga”, wiersze nie są wypracowane, „zorganizowane poetycko”, w takim znaczeniu jak ujmują to Przyboś, a tchną pewną bezpośrednością i świeżością. Do najpiękniejszych w zbiorze zaliczyłbym: „Strofy o późnem lecie”, „Com-media divina”, „Definicje”, „Pogrzeb Słowackiego”, oraz wyróżniające się przewagą pierwiastka ideowego — „Dziesięciolecie”.

Jerzy Jodłowski.

ty do Papée). Dla nas przeszłość ta wywoła zawsze uczucie najgłębszego oburzenia i przestrogi — (oby nią tylko była) na przyszłość. Zatrzymując się nad tą sprawą mimowoli nasuwa mi się refleksja. Wczytałem tam także nazwisko Zegadłowicza. Nie mam zamiaru kwestjonowania jego aspiracji do nagrody regionalnej — ale — czy nazwisko Stefana Grabińskiego, autora „Klasztoru i morza” — nie było w tym czasie dostatecznie wyraźne i obiecujące, by tenże najzdolniejszy dziś dramaturg nie znalazł się na wokandzie literackiej dyskusji. Dzieło, o którym wspominam, przyniosło wszak Poznańskiemu jedną z najchlubniejszych pereł, jakie wogóle literatura powojenna w zakresie regionalistyki wydała. Nie moja jest rzeczą zresztą wskazywanie nazwisk. (To sprawa Boy’a).

Do końcowych słów, które tu rzucę jeszcze na marginesie książki — to coś nie coś o samym autorze. Stefan Papée podejmując się podobnej syntezy, jak rzadko który z krytyków czyni to z uczuciem głębokiego i szlachetnego przekonania, że „cokolwiek się w tej książce powiedziało ujemnego czy dodatniego” wszystko wzięło swój początek z „wielkiej i serdecznej miłości dla sprawy”. Sprawą tą jest kultura Wielkopolski. Serdeczne to wyznaczenie autora - krytyka jest tem godniejsze uwagi, że świadczy o niem całą jego pracę, cały świadomy i piękny wysiłek dyskusyjny — bez błag i taniego patosu, bez żadnych literackich niedomówień i chwaleb. Wysiłek, który na książce Brücknera postawi najważniejsze swoje, doniosłe twierdzenie, że Wielkopolska, to przecież nie sam tylko „ugor, jałowy i niepoetycki”, nie sam tylko „prozaiczny i bez gwiazd nieboskłon”, — że w niej jak wszędzie indziej kwitnie i rozwija się sabath umysłowy, jak wszędzie indziej ogniskuje się trud i mozolna praca twórcza — jak wszędzie tak i tam jest i oddycha nowych dni pocałunkiem, przemijający, jesienny ugor.

Iryon.

Stefan Papée — „Kwiaty na ugorze”. Rzecz o współczesnej kulturze Wielkopolski. Nakł. Fislera i Majewskiego. Poznań 1929.

JAN SZCZAWIEJ

MOST

*Skurczył się, sprężył do skoku
W ciemność, płynącą z oddali,
W zieloną noc, gdzie niepokój
Rumianą gwiazdą się pali.*

*Lapy żelazne podkulił,
Wzrok utkwil w gwiazdę szumiącą.
Rozpaczą warczących ulic
Przesłonił światła tysiące.*

*Mozolnym trudem wzniesionym
Onuchłych, żyłastych ramion
Skoczyć chce, zedrzyć zastony
Rzeczom, o których sny kłaniaj.*

*Rzeczy, o których nie wiemy,
Ludziom tęskniącym pokaże,
Krzyknie fontanną słów niemy
Miłość zakwitnie na twarzach.*

*Oblany mroków kaskadą
Nad brzegiem nieba się slania
Most czyhający na radość
Nowego Dnia Zmartwychwstania.*

na forum rzymskie wyległy rzesze bogów: Mitra, Jehowa, Izda, Thamus, Eubulos... Wędrowkę ludów poprzedziła inwazja bogów. Współczesność przeżywa inwazję genjuszów. Ale jeden był i jeden będzie mesjasz.

Umęczony na krzyżach poznania i zmartwychwstający, jak Ozyrys na sztuki przez Seta rozdarty i zrastający się znowu w jedno ciało Intel- lekt.

On oczyścił to augiustowe wnętrze.

Umysłowość człowieka współczesnego pełna jest energii anachronistycznych, sił różnoimien- nych, nazwajem się znoszących, zawadających o siebie.

Organizujemy państwa i ligi narodów. Walczymy z Rosją sowiecką, ale zapomniałmy zwyciężyć bolszewizm i anarchję ducha ludzkiego. Dać mu konstytucję. Trzeba go uporządkować, oczyścić, zrównoważyć bilanse. Trzeba go uprościć i scentralizować. Siłom moralnym, władzom umysłowym trzeba wyznaczyć granice, określić kompetencje, uzgodnić ich działanie. Trzeba utrwalić jedność i spistość ducha.

Potęgą syntezy będzie prądnica wszelkiej energii. Wieki ostatnie rozszczepiły i rozproszyły ludzkie wnętrza. Zadaniem współczesności jest stworzyć syntezę kultury na użytek jednostki i zbiorowości. Potrzeba syntezy takiej jest cechą myśli europejskiej i wszelkiej ludzkiej myśli. Świadczy o tem tysiąc lat średniowiecza. Ono dało wzór syntezy uniwersalnej, obejmując w niej wszystkie sprawy człowieka i świata.

Synteza jest koniecznością dziś, gdy ludzkie wnętrza stało się koncernem wszelkich energii,

magazynem wszelkich wartości, lamusem wszelkich zabytków.

Treść duchowa człowieka współczesnego przypomina żydowską antykwarnię na Świętokrzyskiej.

Szabla i kropidło, dwadzieścia fajek, portret Dorjana Graya, posażek Zaratustry, dolar i dusza nieśmiertelna — bezcenny numizmat.

Wszystko, co martwe do krematorium, do muzeów, historykom, antykwariuszom, grabarzom!

W głębokie kolumny ściągnąć, zeszlusować rozproszone tyraljery sił żywych!

Do rewji! zwarte czworoboki ducha.

Każda moc, każda energia — to zwycięska dywizja jednej wielkiej armji, to odcinek wielkiego frontu.

Wodzem naczelnym rozum.

A piękno? — Jest krzyżem legji na piersiach męstwa.

Trzeba poznać elementy składające jaźń ludzką. Trzeba zbadać ich wzajemny stosunek. Trzeba sprawdzić czy są jednoznaczne zgodne czy sprzeczne w kierunku, określić współczynnik tarcia, dopuścić tylko konieczne opory, umożliwić harmonijną i celową współpracę.

Konstruje umysłowe starzeją się tak samo jak maszyny fabryczne. Zadaniem ich jest ułatwiać i wzmacniać produkcję duchową.

Duch jako centralna maszyna produkcji musi mieć budowę obmyśloną po inżyniersku, wymie-

rzoną logarytmem, cyrklem, bandmasem, skoordy-

nowaną obliczeniem ścisłym, tyłoryzmem ducha,

zrównoważoną żywoskopami, ekonomiczną do mi-

ligrama i zmontowaną trwale.

Jan Ostaszewski.

„CLIMATS”

Nowa powieść André Maurois.

André Maurois, jeden z czołowych prozaików współczesnej literatury francuskiej, wydał niedawno w ruchliwej firmie księgarskiej Bernard Grasset, nową powieść.

Książka zatytułowana „Climats” zdobyła sobie dużą popularność wśród rzeszy czytelników i bardzo pochlebne zdania krytyki. Jest to typowy romans psychologiczny z tezą. Też, trzeba przyznać ciekawą i niebanalną. Maurois twierdzi, że osoby przez nas ukochane zmuszają nas do życia w pewnej utworzonej przez nie atmosferze, albo inaczej klimacie. Kochając, nie możemy się obejść bez tej atmosfery, przeciwnie, uważamy ją za coś nieodzownego i koniecznego. Zagadnienie bardzo ciekawe i psychologiczne bezwzględnie słuszne, jest kanwą, na której autor osnuł wątek treściowej powieści.

Filip Marcenat, kochając różne kobiety, żyje kolejno w atmosferach przez nie stworzonych. Atmosfera utworzona przez istotę najbardziej kochaną (choć nie najwybitniejszą, jako indywidualność), pierwszą żonę Filipa-Odile, doprowadza do całego szeregu tragicznych powikłań, stanowiących rdzeń właściwy akcji.

Powieść swą, Maurois rozбивa na dwie części. Pierwsza — to list Filipa, pisany do Izabelli, drugiego jego żony, a zawierający opis całego życia aż do chwili jej poznania. Część druga — to wspomnienia Izabelli, pisane już po śmierci Filipa, a poświęcone dziejom ich małżeństwa. Bohaterką obu części jest Odile. Atmosfera utworzona przez nią, trwa nawet po jej śmierci, zatruwając pożytki Filipa i Izabelli. Swawolna, płocha, lubiąca rozrywki, Odile — nie była szczęśliwa, jako żona Filipa, lubiącego spokój i ciszę domowego ogniska. Filip cierpiał nie rozumiejąc jej, — raziła go „mythomanja” żony. Doprowadziło to do krachu. Rozwód. — Odile kocha innego, jest znowu nieszczęśliwa — popełnia wreszcie samobójstwo. Cóż się teraz dzieje z Filipem. Wpływ Odile jest tak silny, że w drugim małżeństwie Filip odgrywa jej rolę, a Izabella dawną jego. Znowu rozbieżność upodobań i nieporozumienia. Teraz z kolei Filip na wszystkie pytania żony, gdzie był, co robił, odpowiada: „nie wiem, nie pamiętam...” Wspomnienie Odile trwa w całej swej mocy, aż do chwili śmierci Filipa, umierającego z bolesną skargą na ustach: „Teraz tracę ją na zawsze!”

Taką jest w ogólnych zarysach treść „Climats”. Bardzo trudno jest mądrze i logicznie przeprowadzić w powieści tezę, unikając przesady. Zdaniami temu Maurois nie podolał — teza jego jest przejawem owego 180° stosunku męża i żony w pojęciu małżeńskim jest narysowane za mocno. Filip przemawiający, jak Odile, a Izabella, jak dawny Filip — nie trafiają nam zbyt do przekonania. Poza to część druga powieści pisana przez Izabellę jest bliźniaczo podobna do części pisanej przez Filipa. Nawet jeżeli policzymy to na karb atmosfery utworzonej przez Filipa — nie będzie to całkowicie wytłumaczone. Maurois ułatwił sobie zadanie i dwie części, mimo odrębność autorów, potraktował prawie jednakowo. Te dwie wady konstrukcyjno-ideologiczne łączą się z trzecią zasadniczą: powieści brak głębi. Po znakomitych „Les discours du docteur O'Grady” i „Les silences du colonel Bramble” tak ciekawie ujętych i pełnych oryginalnej filozofii — razi trochę w „Climats” zbanalizowanie niebanalnego tematu. Za dużo tu jest popularnego „francuskiego romansu” — za mało tych wszystkich pierwiastków, których istnienia wymagamy w tegiej powieści psychologicznej. A przecież Maurois stać na to — Życiorysy Shelleya i Disraeliego dowodzą, czy autor umie wnikać w „medias res” przeżyć ludzkich. „Meipe ou la delivrance” jest najlepszym sprawdzianem, że trudne zagadnienie potrafi Maurois świetnie rozwiązać w ramach powieści, czy też noweli. „Climats” napisane lekko, ładnym stylem, o dosyć interesującej fabule, zaliczone zostaną do rzędu książek poczytnych, Maurois napisze jednak napewno jeszcze rzeczy o wiele dojrzalsze, bardziej przemyślane, a przez to samo lepsze.

Jerzy Toeplitz.

OD ADMINISTRACJI

Pp. prenumeratorów prosimy o wpłatę należności za kwartał I r. 1929, którą obniżyliśmy ze zł. 4.50 na zł. 3. Wpłaty należy skutecznie na konto czekowe P. K. O. 16.380 najpóźniej do dn. 15 stycznia. Zalegającym, dalsza wysyłka pisma zostanie po tym terminie wstrzymana.

MIŁA ZABAWA MISTRZA JAROSŁAWA

W Nr. 52—53 „Wiadomości Literackich”, znajdujemy nowe rewelacje p. Jarosława Iwaszkiewicza. Tym razem są to czterolinijkowe wierszyki (aż 20 sztuk), pod fascynującym tytułem: Bilety Tramwajowe. Wybieramy bez specjalnych komentarzy kilka tych krotkoichwlnych fraszek pociesznych, starego bobasa.

1. BILETY TRAMWAJOWE.

Myślałem, że przywiozłem garstkę płatków róży,
Brzęczących jak złociste bransolety, —
A to są tylko zużyte w podróży
Kolorowe tramwajowe bilety.

Są to zapewne reminiscencje z wycieczki zbiorowej za miasto, skoro aż cała garść biletów brzęczała jak złociste bransolety w poetyckiej kieszeni mistrza Jarosława.

3. NIEMCY W OGRODZIE.

Piwonia z różą pomieszana
Ludzie — kaktusy! jacy sztuczni,
Jak krem różowa kwiatów piana;
Niemcy są czasem sympatyczni.
(Arystokraci z Ukrainy jeszcze bardziej!)

10. Z FLORENCJI.

Poeta Juliusz Słowacki
Mieszkał na Via dei Banchi.
Chodziłem tam do lombardu.
Chciałem zastawić brylanty.

Rozkoszna zabawa. Takie wierszyki można kleić aż do skutku. Tematów nie trzeba wogóle szukać. Ten rodzaj twórczości jest przewrotem w poezji. Można bowiem na nią pasować tysiące i miliony podobnych anegdotek. Np.

1001. PRZYJAŹŃ.

Poeci: Iwaszkiewicz i Rytyard
W. Leśnej mieszkali Podkowie.
Jutro jest sobota,
Pójdziemy na obiad.

Jest to cykl „wierszyków dla panów Hoesicków”. Podobno bowiem księgarnia F. Hoesicka ma zamiar wydać nowy tom „prezji” p. Jarosława Iwaszkiewicza p. t. „Księga dnia i księga nocy”. A no cóż — wybiorę. Nie należy się na coś podobnego oburzać, skoro dzieje się to gwoili rozweselenia biednych ludzi.

NOWE KSIĄŻKI

Jan Wiktor — *Tęcza nad sercem*. — Powieść. Nakład księgarni Św. Wojciecha. Poznań — Warszawa — Wilno — Lublin. Str. 177.

Jan Brzękowski — *Psychoanalizy w podróży*. — Powieść. Nakładem księgarni F. Hoesicka. Warszawa 1929. Str. 223. — Powieść eksperymentalna, dedektywno-filmowa.

Herminja Naglerowa — *Matowa kresa*. Warszawa 1929. Nakładem księgarni F. Hoesicka.

Halina Dąbrowska — *Zielony parawan*. Warszawa 1929. Nakładem księgarni F. Hoesicka. — Pierwszy tom prozy świetnie zapowiadającej się autorki, laureatki konkursów nowelistycznych Czasu, Świata Kobięcego i Wiadomości Literackich.

Zofia Nałkowska — *Niedobra miłość*. Roman powieściowy. Warszawa. Gebethner i Wolff — omówimy na innym miejscu.

Kornel Makuszyński — *Pieśń o Ojczyźnie*. Wydanie II. Warszawa. Gebethner i Wolff. — Nowe wydanie utworu odznaczonego nagrodą państwową w r. 1926.

Bolesław Szepcowski — *Niedźwiedź*. Powieść. Warszawa. Gebethner i Wolff.

Jakób Wassermann — *„Urok życia”*. (Sprawa Mauriziusa). Powieść. W przekładzie Marcellego Tarnowskiego. Nakł. Inst. Wyd. „Renaissance”.

„Almanach Biblioteki Narodowej”. W dziesięciolecie wydawnictwa 1919 — 1929. Nakł. Krak. Sp. Wyd. Kraków. 1929.

Paul Morand — *„Żyjący Budda”*. Przekład Jarosława Iwaszkiewicza. Nakł. Tow. Wyd. „Rój”. Warszawa 1929.

NA MARGINESIE

— Jury nagrody państwowej (skład podaliśmy w numerze poprzednim) przyznało nagrodę państwową na rok 1928 (10 tys. zł.) Juliuszowi Kadenowi-Bandrowskiemu za cykl „W cieniu zapomnianej olszyny”. Orzeczenie to uzyskało zatwierdzenie p. ministra W. R. i O. P.

— Magistrat m. st. Warszawy postanowił utworzyć nagrodę muzyczną, analogiczną do nagród — literackiej i malarskiej udzielanych przez miasto. Pierwsza taka nagroda na rok 1928/29 miałaby być przyznana prof. Aleks. Michałowskiemu za całokształt pracy na polu muzyki.

— Istnieje projekt przekształcenia departamentu sztuki w ministerjum oświecenia na taką jednostkę administracyjną, która posiadałaby własnego przedstawiciela w radzie ministrów. Nie jest jeszcze rozstrzygnięte, czy stanie się to w drodze utworzenia ministerjum sztuki, czy też podsekretariatu stanu w łonie prezydium rady ministrów.

— Nagrodę im. Łukaszczyka, ustanowioną uchwałą z dn. 11 maja 1927 r. przez magistrat, rada miejska st. m. Poznania, przyznała na rok obecny p. Bolesławowi Erzebkemu, profesorowi honorowemu filologii polskiej uniwersytetu poznańskiego. Nagroda w wysokości 7000 zł. przyznana została w myśl statutu za wybitną działalność naukową, mającą szczególne znaczenie dla miasta Poznania.

— Fundacja Carnegiego zwróciła się do profesora uniwersytetu warszawskiego, Tadeusza Zielińskiego z prośbą o wygłoszenie wykładów w berlińskim „Deutsche Hochschule für Politik”, które to wykłady mają się odbyć w dniach 13 i 14 b. m. Propozycja ta jest zaszczytnym wyróżnieniem polskiego uczonego, który będzie miał możność stanąć na katedrze berlińskiej obok tak wybitnych uczonych jak prof. dr. Alfred Weher z Heidelberga, prof. Francesco Rupini z Turynu i prof. G. P. Gooch z Londynu.

— Jan Wiktor, znany autor „Burka” i „Srogięgo psa i sentymentalnego zająca” oddaje do druku powieść p. t. „Zwarjowane miasto”, w najbliższym zaś czasie zbiór nowel-obrazów z życia zwierząt p. t. „Eros na podwórzu”. Pozatem pisze cykl nowel pod nazwą „Wdowy”.

— Dnia 14 grudnia 1928 r. odbył się w Uniwersytecie Warszawskim staraniem Koła Polonistów — wieczór autorski Ferdynanda Goetla, na który złożyło się: wstęp do najnowszej powieści Goetla: — „Serce lodu”, rozdział z książki: — „Wyspa na chmurnej północy” oraz fragment z dramatu prozą o Samuelu Zborowskim. W najbliższej przyszłości Koło Polonistów S. U. W. organizuje wieczory: Jana Lechonia i Leopolda Staffa.

— Wybitny poeta czeski Ottokar Brzezina, który otrzymał tegoroczną nagrodę państwową czechosłowacką w sumie 30 tys. koron, przeznaczył ją w całości na rzecz wdów i sierot po literatach czeskich.

— Charakterystyczną cechą trzech tegorocznych nagród literackich jest fakt, że laureaci są mieszkańcami prowincji. Dominique Dunois (Prix Femina), mieszka w Blère, André Obey (Theophrastrus Renaudot), w dep. Seine et Oise, wreszcie Constantin Weyer (Prix Goncourt), o którym pomówimy obszerniej w następnym numerze „Głosu”, jest dziennikarzem z Poitiers.

— Ostatni numer „Nouvelles Litteraires” poświęcony jest Bergsonowi. Zwracają uwagę artykuły Brunschwigera o Bergsonizmie, Berruety o intuicji, wspomnienia Papiniego, Ferlora „Od Keerkegarda do Bergsona”, Shuro Kuki „Bergson w Japonii” i o intelektualizmie Bergsona Chevalier. Numer jest bardzo bogaty i ciekawy.

— „La revue de Paris” zapowiada w 1929 r. druk następujących rzeczy: „Stephy” Giraudoux, „La rue” Francis Carco, „L'école de femme” André Gide, „Pygmalion” Mauricea, „Dialogues sur les choses divines” Valery i wiele innych.

KINO

Polski ekran nie stworzył jeszcze własnego typu obrazu kinowego, a jeżeli jakie próby w tym kierunku były, to kończyły się kompletnym fiaskiem. Dotychczasowa rodzima wytwórczość kinematograficzna wciąż jeszcze balansuje między teatrem a literaturą i wszystkie lepsze jej utwory są odbiciem pisanego słowa — są jego ilustracją. Polskie kino bliższe nie swoim, lecz zapożyczonym blaskiem.

W tych właśnie warunkach powstał ostatni polski film „Przedwiośnie” wytwórni Gloria, realizacji H. Szaro, wyświetlany w kinach Casino i Apollo. Jeżeli jest coś w tym filmie co chwytta czasami za serce i działa na uczucie, to są to tylko ilustrowane słowa Żeromskiego. Poza to obsada ról dobrana dość starannie, Sawan dał kreację Baryki mocną w wyrazie, widać u tego artysty duży postęp, bardzo dobry jest Jaracz w roli Baryki-ojca. Szereg scen reżyserowanych i granych po teatralnemu. Widoczny jest olbrzymi wysiłek pracy, jaki w realizację tego obrazu włożono i film jest wzruszający i będzie kasowym, lecz nigdy nie będzie kinowym.

W kinach Słońce i Pan wystawiono obraz „Tajny Kurjer” z I. Mozzuchinem wytwórni Terra-film w realizacji Gennaro Righeliego. Obraz ten wprawdzie niema nic wspólnego z wyświetlanym swego czasu filmem „Kurjer Czerwony”, niewątpliwie jednak poprzedni na samą myśl realizowania powieści Stendhala „Rouge et Noir” wpływ musiał wywrzeć. Mozzuchin stanowi wybitną indywidualność w kinematografii i jako taki nie mógł się dostosować do poziomu filmu amerykańskiego wracając do Europy. Ostatni momenty dowodzą całej pełni jego talentu. Takie momenty prawdziwie kinowe jak bieg z kasyna pułkowego, aż do miasteczka odległego o dziesiątki kilometrów, ten wściekły niesamowity pęd, by się zemścić, by zabić tę kobietę, która mu krzywdę wyrządziła, pozostawia niezatarte wrażenie. Scenę tą uważam za klasyczną, jest w niej cała wspaniałość kinowego ruchu. A takich momentów film zawiera sporo. I dlatego stawiamy one obraz na wyżynie doskonałości kinowej ostatniej produkcji europejskiej.

Gasiński.

— Kessel drukuje w odcinku „Groingoire” nowopowstałym odcinku literacko-politycznym (przeciwagwa „Candide’a”) powieść p. t. „Belle de jour”.

— Na mocy powziętej przez radę najwyższą francuskiego ministerjum oświaty decyzji, język polski zaliczono do liczby języków obcych, z ukończenia kursów, których udzielane być mogą dyplomy przez uniwersytety francuskie, t. zw. „licences”. Korzystało dotychczas z tego przywileju sześć języków obcych, mianowicie języki: niemiecki, angielski, włoski, hiszpański, arabski i rosyjski. Odpowiednie kursy przygotowawcze otwarte tymczasem zostały jedynie w uniwersytecie w Lille, kiem wnetrzu wszyscy jako odrębne zasady myśli, który ogłosił program egzaminów. Przewidziane są dyplomy trzech kategorii, mianowicie: dyplom specjalny z języka polskiego, obejmujący znajomość tekstów klasycznych, jak „Kazania gnieźnieńskie”, „Dworzanin polski” Górnickiego, „Treny” Kochanowskiego i inne; dyplom z literatury polskiej, wymagający przestudowania dzieł Kochanowskiego, Krasińskiego, Mickiewicza, Krasińskiego, Słowackiego, Sienkiewicza, Prusa i Wyspiańskiego oraz dyplom studiów praktycznych, dla których wskazane są dzieła Grappina (Historja Polski), St. Kutrzeby (Historja ustroju polski), Fiszera (Lud polski), Br. Chlebowskiego (Literatura polska); St. Kota (Historja wychowania), J. Topassa (Sztuka polska).

— W Studjo Scribe w Paryżu odbyło się otwarcie wystawy prac Stefana Mroźewskiego. Wystawa obejmuje około 25 prac z dziedziny grafiki. Krytyka wyraża się o wystawie artysty polskiego z wielkim uznaniem.

— Nagroda literacka Warszawy za rok 1929 została przyznana w dniu święta Niepodległości Arturowi Oppmanowi.

DOM HANDLOWY CENY PRZYSTĘPNE
G. STOŁOWICKI
WARSZAWA, KRAK. PRZEDM. 67,
TELEFON 72-51
UBIORY GOTOWE, MANUFAKTURA
OBUWIE, GALANTERIA,
KONFEKCJA DAMSKA I MĘSKA
NA ROZPŁATY TERMINOWE
BEZ ZALICZKI

JAN ZEGRZE
: SZWAJCARSKIE :
: ZEGARKI :
: BIŻUTERIA :
: SREBRO :
: I PLATERY :
NA DOGODNYCH WARUNKACH
WARSZAWA: N. ŚWIAT 30:

NA RATY I ZA GOTÓWKĘ
UBIORY i OBUWIE
męskie — damskie — dziecięce
H. KEJLIN
WARSZAWA
ELEKTORALNA Nr. 7
TELEFON 99-94
FIRMA EGZYSTUJE OD 1872

NA RATY I ZA GOTÓWKĘ
NAJMODNIEJSZA
KONFEKCJA DAMSKA
MICHALINA
PALTA: TRYKOTARZE
SUKNIE: SZLAFROKI
BLUZY: BIELIZNA
ELEKTORALNA Nr. 7 TELEF. 189-78
FIRMA EGZYSTUJE OD 1905

WARUNKI PRENUMERATY: Z przesyłką — w kraju miesięcznie 1 zł., kwartalnie 3 zł., zagranicą kwartalnie 6 zł.
OGŁOSZENIA: 1 mm. szerokości 1 szpalty (łam 4 szpaltowy) 40 gr. za tekstem, w tekście 50% drożej.
REDAKTOR i WYDAWCA — JÓZEF PODHALICZ.